

Ladakh



Tekst i zdjęcia: Tomasz Noga

Sezon trekingowy w Ladaku trwa od połowy czerwca do połowy września, nie jest to jednak dobra pora do podróży do pozostałej części subkontynentu.





▲ *Klasztor w Tiksey*



▲ W drodze z przełęczy Purfi La (3850), doliną rzeki Zaskar do wioski Hanumit

W czasie mojego pobytu w 1994 r. miał miejsce okres rekordowych upałów i doświadczając w lipcu 50°C w stolicy przy monsunowej wilgotności i opadach, obiecałem sobie, że zawsze będę wyjeżdżał do Indii w okresie pozamonsunowym z wyjątkiem podróży do Ladaku i Kaszmiru. Tym razem początek sierpnia w Delhi był dla nas łaskawy ze swoimi 40° ciepła, a jednodniowy odpoczynek w klimatach „backpackersowskiej” dzielnicy Pahargandź w rejonie dworca kolejowego New Delhi, pozwolił przypomnieć klimaty Delhi z poprzednich pobytów: przesiadanie w położonych na dachach hoteli knajpkach, popijanie lassi – zimnego rodzaju jogurtu, kosztowanie kolejnych serowych potraw w kilkunastu różnych sosach i rozmowy do 2 w nocy ze zbieraniną ludzi z całego świata.



▼ Jezor lodowca Drung Drung na trasie Padum – Kargil przed przełęczą Pensi La (4450) (trasa powrotna Jeepeem)

Kolejnego dnia przed wieczorem wyruszamy na północ do Manali. Po kilku godzinach zatrzymujemy się na posiłek jeszcze w niższym regionie, zanim autobus zacznie się piąć w góry stanu Himachal Pradesh, gdzie zatrzymują się wilgotne masy powietrza. Powietrze jest ciężkie, lepkie, nie ma czym oddychać i pocieszeniem pozostaje fakt, że kolejnego dnia będziemy w chłodniejszym Manali, położonym na wysokości ponad 2000 m. Jeden dzień odpoczynku wykorzystujemy na zwiedzanie rejonu Manali wypożyczonym na pół dnia motocyklem Enfield – indyjską wersją Harleya. Jedziemy do świątyni Vashisht, gdzie pozostawiamy motor i idziemy do pobliskiego wodospadu.

Nazajutrz wczesnym rankiem indyjskim terenowcem Tata Sumo wyjeżdżamy w kierunku Leh, mijając kolejne stoiska, wypożyczające ciepłe płaszcze dla hinduskich turystów, przyjeżdżających tutaj obejrzeć śnieg. Przedzieramy się przez mgłę do przełęczy Rotang na wysokość 3975 m, za którą na kilka godzin widoczność i pogoda się poprawia. Zbliżamy się do przełęczy drogą trawersującą zbocze i zatrzymujemy u jego podnóża. Kamienista lawina zasypała drogę. Napotykamy inne samochody, których kierowcy decydują przepychać jeepy po stromym kamienistym zboczach, aby umożliwić im dostanie się na dalszy, wyżej położony odcinek drogi. Wysokość prawie 5000 m osiągnięta w krótkim czasie nie ułatwia kilkunastoosobowym grupom pchania po stromym zboczach samochodu, mimo pełnej pracy jego silnika na wysokich obrotach. Padający deszcz i dalsze osuwiska uniemożliwiają przejeżdżalność tej drogi przez kolejne 3 dni. Mijamy przełęcz Baralacha (4980 m) i zjeżdżamy na wysokość 4200 m do obozowiska w Sarczu. Rozbijamy swój namiot, nie chcąc korzystać z rozstawionych wojskowych namiotów z kanadyjkami wewnątrz.

Przed wschodem słońca pomarańczowe niebo na horyzoncie powoli oświetla pobliskie łańcuchy górskie. Wczesnym świtem wyruszamy w kierunku kolejnych przełęczy, opuszczając stan Himachal Pradesh i wjeżdżając do Ladakhu, buddyjskiej krainy zwanej „Małym Tybetem”. Czyste niebo, gorące słońce i widoki na pobliskie bezimiennie sześciotysięczniki z przełęczy Lachalung (5065 m) wynagradzają niedosyt poprzedniego dnia. Kilka godzin jazdy i przejechanie 90 km przy bardzo dobrej widoczności pozwala dotrzeć do najwyższej przełęczy na trasie – Taglang, położonej na wysokości 5330 m, czyniąc z drogi Manali-Leh drugą najwyższą drogę świata, po której kursują autobusy. Ustupuje ona jedynie pobliskiej drodze z miejscowości Leh do doliny Nubry (przecinającej na swej drodze przełęcz Khardung na wysokości 5602 m), położonej w pobliżu graniczącego z Ladakiem, niedostępnego od tej strony, pakistańskiego Baltistanu.

„W sierpniu góry Ladakhu powinny być suche i pustyne”, powtarzałem poprzedniego dnia, jadąc w deszczu. „Tam za ostatnią przełęczą będzie już cały czas pewna pogoda”, dodawałem. Przed przełęczą robi się jednak pochmurno i zaczyna padać śnieg z deszczem. Gdy zjeżdżamy dalej w dół deszcz nie ustaje i zaczynamy tracić nadzieję na kolejne zdjęcia.

Jeszcze 70 kilometrów do Leh, za jakieś 3 godziny będziemy na miejscu – usłyszeliśmy od kogoś z pasażerów. Po kilku minutach za zakrętem pojawił się na środku drogi 1,5-metrowej wysokości głaz. Uderzenie czołowe mimo hamowania, obrót samochodu i poprawka lewymi tylnymi drzwiami. Skończyło się na niewielkich uszkodzeniach, ale dalsza droga stała się niemożliwa. Lawina skalno-błotna osunęła się na drogę, wtaczając na nią metrową warstwę szlamu nasączonego wciąż padającym deszczem. Po przyjeździe spychacza 2-godzinne usuwanie błota wydłuża się o dodatkową godzinę odkopywania i wypychania spychaczem wojskowego samochodu.

Do Leh docieramy ok. 22.30 i kolejnych hotelikach nie możemy znaleźć wolnych miejsc. Przyjechalście z Manali? Od jutra mam rezerwację, ale droga już jest odcięta i turyści raczej nie dojadą. Znajdę coś dla Was – odpowiadają młoda Tybetanka. Sytuacja zapewnionych hoteli szybko się wyjaśniła. W suchym Ladakhu od 5 dni pada, odcięte są drogi we wszystkich kierunkach, jedyna, która była przejezdna, już nie jest, a możliwy transport to droga lotnicza – bilety zostały wykupione na najbliższe 20 dni. Pozostaje nam cieszyć się dłuższym pobytem w buddyjskim Leh i zwiedzaniem bez pośpiechu okolicznych klasztorów.

W planach mamy 10-dniowe przejście z klasztoru Lamayuru do Padum w Zanskarze. Wynajmujemy konie wraz z ich właścicielem za pośrednictwem agencji i planujemy wyruszyć za 2 dni. Deszczowa pogoda przez ostatnie 5 dni oraz zniszczony most w kierunku Lamayuru spowodowały, że od kilku dni nie wyszły w trasę żadne grupy trekkingowe i na szlaku mimo szczytu sezonu nie będziemy przez pierwsze 5 dni spotykać nikogo idącego z naprzeciwka. Po zrobieniu koniecznych zakupów jedziemy do położonego na wysokości 3430 m klasztoru w Lamayuru z koniuszym o imieniu Tenzing. Po drodze zatrzymujemy się w miejscu otoczonym górami, gdzie ciemnobrązowa rzeka Zanskar łączy się z dużo jaśniejszej barwy Indusem, wyznaczając równą linię styku różniących się między sobą barw.



Obóz powyżej wioski Honupatta (3900). Nasz namiot, brezent podparty kijem, będący namiotem Tenzina i konie – nasi czterokopytni tragarze

Samochód pnie się stromo zakosami krętą drogą i wyjeżdżając z wąwozu w otoczeniu księżycowego krajobrazu suchych gór dociera do klasztoru. Po krótkim zwiedzaniu pakujemy dobytek na konie i wyruszamy na pierwszy krótki 4-godzinny odcinek do miejscowości Wanlah. Idziemy najpierw wzdłuż rzeki, by skręcić potem na wznoszącą się ścieżką do przełęczy Prinkiti La (3650 m). Idąc stromo w dół, błotnisty szlak doprowadza nas do wioski Shila, potem zaś wzdłuż rzeki po płaskim terenie, docieramy do Wanlah (3150 m), miejsca pierwszego noclegu.

O świcie, pozostawiając namiot do wyschnięcia porannemu słońcu, idziemy do górującego nad wioską klasztoru, aby go zwiedzić, ale także popatrzeć na leżące po obu jego stronach doliny. Wyruszamy w kierunku wioski Honupatta oddalanej o 15 km i 5 godzin marszu. Początkowo droga po płaskim terenie przez kilka kilometrów do wioski Phanjila jest monotonna, by w miejscu rozdzielenia się ze szlakiem w kierunku Chilling i Alczi, skręcić w prawo w tworzącą się głęboki wąwóz z płynącą jego dnem rzeką Yaopola. Odcinek ten do mostu przed miejscowością Sumdo jest jednym z kilku, które pozostaną na długo w pamięci. Przed mostem skręcamy jeszcze raz w prawo i idąc w górę stopniowo rozszerzającą się doliną, docieramy do wioski Honupatta (3900 m), za którą robimy kolejny raz naszego Marabuta.

Z obozowiska kolejnego dnia wyruszamy w kierunku przełęczy Sisir (4720 m), poruszając się długo łagodnym podejściem w kierunku przełęczy wzdłuż rzeki, by po przejściu przez most bardziej stromą ścieżką wędrować w górę, będąc obserwowanym przez himalajskie gęsto porośnięte futrem świstaki. Z przełęczy jak na dłoni widoczny jest pokryty złodzionym śniegiem bezimienny pięcioletni, a w oddali panorama szczytów gór Zanskaru, do których będziemy zbliżać się przez kolejne dni. Przejaśnia się i w powoli zachodzącym słońcu stromo schodzimy prawie 700 m w dół do wioski Photaksar. Położona, a w zasadzie zawieszona nad głębokim kanionem, jest najbardziej malowniczą

miejscowością na całej trasie. Wygląda bajkowo ze stromymi skalnymi ścianami górującymi nad nią, mieniącymi się czerwonobrązową barwą na tle zachodzącego słońca. Widoczne przy wroście rozbite namioty usytuowane są w miejscu dla grup zorganizowanych i powoli zaczyna denerwować mnie to, że Tenzing zawsze idzie na dalej położone miejsce biwakowe. Prawdopodobnie ma taki nakaz, aby indywidualni turyści nie kontaktowali się z placącymi kilkadziesiąt euro dziennie turystami z grup zorganizowanych. Okazuje się, że niepotrzebnie zszedłem do doliny, bo koniuszy poszedł wyżej w stronę czekającej nas kolejnego dnia przełęczy. Słońce zaszło, a szybko nadciągające chmury gwałtownie zmieniają pogodę – zaczyna padać. Zасыpiamy w wilgotnej atmosferze mokrych plecaków i ubrań pozostawionych w przedsionku namiotu.



Młody mnich z klasztoru Lingshet

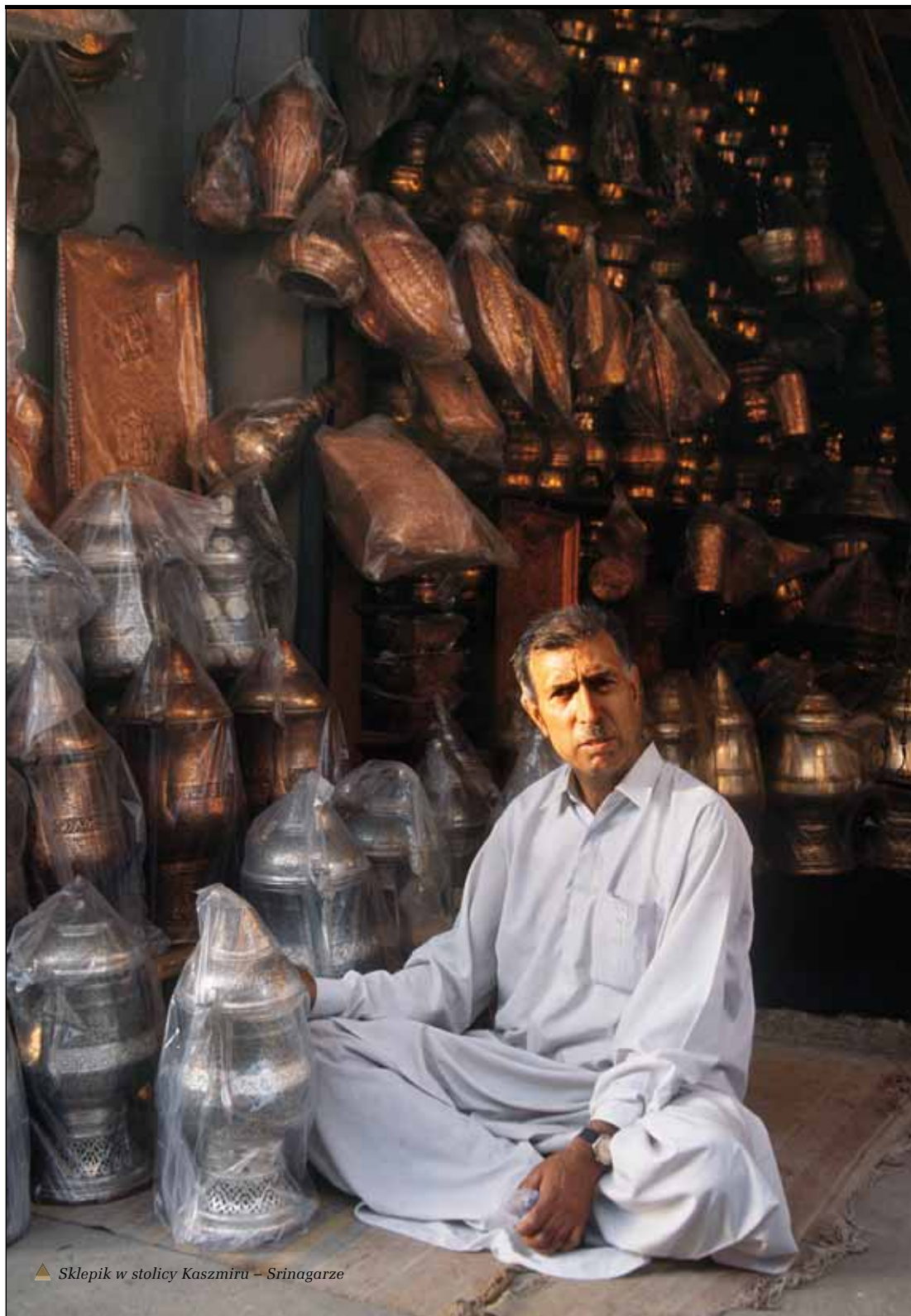
Ranikiem czwartego dnia szybko wchodzimy na pobliską przełęcz i długim kilkugodzinnym łagodnym podejściem, przechodząc przez rzekę po kolana w wodzie, posuwamy się w stronę najwyższej na trasie przełęczy – Singge, z górującym nad nią piramidalnym ośnieżonym bezimiennym szczytem. Dochodzimy do miejsca, gdzie większość grup zatrzymuje się ze względu na możliwość noclegu. Decydujemy się iść dalej i powoli dochodzimy na wysokość 5050 m na przełęcz Sengge z bardzo dobrą widocznością na kolejne pasma górskie. W świetle zachodzącego słońca schodzimy ponad 600 m w dół i dochodzimy do Sengge La base camp, będącym małym fragmentem płaskiego terenu, na którym może się zmieścić tylko kilka namiotów. Posiłek przyrządzamy już w świetle czołówek.

Ranikiem opuszczamy obóz i lekko na przemian wznoszącą się i opadającą

ścieżką, obchodzimy pobliski masz i dochodzimy do przełęczy Khyupa na podobnej wysokości, z jakiej wyruszyliśmy. Pogoda się poprawia i słońce zaczyna przygrzewać, gdy stromo schodzimy 400 m w dół do wioski Skyumpata, widząc po drugiej stronie doliny ścieżkę, czekającą nas niebawem i prowadzącą do kolejnej przełęczy. Kilka wypitych herbat w miejscowym „tea shopie” i wymoczenie stóp w strumieniu, nastroja nas pozytywnie przed dalszą wędrowką.

Po dojściu do przełęczy Marun schodzimy do wioski Lingshet na 3900 m. Tenzin prowadzący konie tym razem ma się zatrzymać na biwaku przy klasztorze, a nie jak w poprzednie dni na miejscach biwakowych, oddalonych od obozowisk treningowych grup zorganizowanych.

Odwiedza nas mnich poznany dwa dni temu przed przełęczą w herbacianym namiocie i zaprasza na wieczór do swojego klasztornego lokum na kontynuację dysput o buddyzmie, Ladakhu i Tybecie. Rozbijamy namiot i idziemy do klasztoru na wieczorne modły. Wsłuchując się w modlitewne mantry, popi-



▲ Sklepik w stolicy Kaszmiru – Srinagarze

jamy tybetańską herbatę przyprawioną masłem i solą. Po zwiedzeniu klasztoru i pierwszym na trekingu przysnyciu z przyniesionej w butelkach wody, oczekujemy na przybycie po nas duchownego. Stromymi schodkami wchodzimy do mikroskopijnego pokoiku z wnęką do przygotowywania posiłków i zajmujemy miejsce pod wyszyciami na ścianach wizerunkami Dalajlamy. Kolejne tybetańskie herbatki przeplatane opowieściami o miejscowej ludności i zwyczajach trwają niemal do północy. Na koniec zostajemy obdarowani wstępami mającymi zapewnić nam opiekę i opatrności w dalszej wędrówce.

Następnego dnia wychodzimy później niż zwykle i mijając pobliską przełęcz, po 3 godzinach schodzimy do doliny przed ostatnią już wysoką przełęczą Hanuma. Okazuje się, że nie jesteśmy w stanie dotrzeć przed nocą do wioski Snertse i zostajemy na długi południowy relaks w bezimiennej dolinie, mając czas na pranie, zaległą lekturę i odrobinę lenistwa. Kolejnego dnia znowu wychodzimy później i najbardziej stromym odcinkiem na trasie w tym kierunku podchodzimy do przełęczy Hanuma na 4650 m. Długa łagodna droga w dół przez pierwsze 2 godziny prowadzi szeroką nieco nudną doliną, potem zwęża się, staje się bardziej interesująca i doprowadza do ciekawej śnieżnej czapy nad strumieniem, która stała się sklepieniem wytworzonej naturalnej lodowej grotty pod nią. Dochodzimy do Snertse i decydujemy się iść dalej do kolejnego miejsca biwakowego. Po krótkim trawersie w prawo nagle ukazuje się kanion rzeki Zanskar, stromy i głęboki, uniemożliwiający momentami zobaczenie dna z krawędzi wąskiej ścieżki przyklepioną do jego ściany.

Schodząc na nocleg, przechodzimy kamienny prymitywny mostek i po rozbiciu namiotu pierwszy raz zasypiamy w krainie Zanskar po opuszczeniu Ladakhu, przez który wędrowaliśmy kilka poprzednich dni. Rankiem ponad godzinę podchodzimy na niewysoką przełęcz Purfi 3850 m, po której minięciu w dole widać urokliwy, skalisty meander rzeki Zanskar. Kolejne kilka godzin idzie-

my wzdłuż rzeki Zanskar, szeroką płaską doliną, w której ze względu na jej położenie poniżej 3500 m, nagrzone skały na ścieżce i mocno operujące słońce, silniej odczuwalne niż w poprzednie dni na wyższej wysokości, wędrówka zaczyna przypominać spacer po kamienistej pustyni przy słońcu w zenicie.

Zatrzymujemy się w wiosce Hanumil (3380 m), w której pierwszy raz od kilku dni można kupić butelkowane napoje, a właściciel pola biwakowego może nam coś ugotować, wyręczając od codziennego rytuału używania benzynowej maszyny. Siedzimy przy świecach do późnych godzin nocnych z dwoma poznanymi niemieckimi studentkami, w których towarzystwie wędrujemy do końca trekkingu. Dziewiątego dnia czeka nas 13-kilometrowy marsz do Pishu, ale decydujemy się

go wydłużyć i odwiedzić jeszcze wioskę Zangla, leżącą na przeciwległym brzegu rzeki. Przed opuszczeniem obozu intryguje nas budowla przypominająca wieżę z oknami widowiskowymi na obie strony doliny i rzekę Zanskar w dole z wejściem po drabinie. Drewniana konstrukcja przypominająca obudowany punkt widokowy okazuje się przyziemnym miejscem codziennych „kontemplacji” dla mieszkańców campingu.

Długa monotonna wędrówka wzdłuż rzeki doprowadza nas do mostu i po przejściu na drugą stronę spragniony docho- dzę do wioski Zangla, w której jedyny istniejący sklepik jest zamknięty. Coca cola, Fanta, Sprite? – pytam kobietę na ścieżce przy swoim domu. Skinieniem ręki pokazuje mi, abym poszedł za nią. Zaprasza mnie do domu, a jej córka przygotowuje herbatę podając mi cały

dzbanek i zasiada z nami wspólnie na podłodze w pobliżu śpiącej wnuczki sędziwej kobiety. W starannie urządzonym tybetańskim wnętrzu, w którym zwraca uwagę bogato wyposażona w zdobione naczynia kuchnia, odzyskuję siły i udaję się do pobliskiego żeńskiego klasztoru na skraju wioski. Górzący nad wioską z drugiej strony pałac jest zamknięty, więc rezygnuję z wdrapywania się w jego kierunku i podążam w stronę mostu w miejscowości Pishu. Jeszcze godzina drogi w odwrotnym kierunku i dochodzę do namiotów, widząc w oddali pasące się nasze konie.

Po całodziennym wędrowce wzdłuż rzeki poprzedniego dnia, ostatnie 20 km do Padum przez miejscowość Karsha decydujemy się nieco sobie ułatwić, jako że ostatni odcinek także jest wędrówką płaską drogą wzdłuż Zanskaru. Dochodząc ponownie do mostu, nie zdążamy na autobus z Zangli. Udaje nam się jeepem zabrać z jedną z grup trekkingowych do Padum, rozstając się po rozliczeniu z Tenzinem i umówieniu



▼ Posąg Guru Rinpoche w klasztorze Hemis



się na wieczorną ostatnią wspólną kolację w hotelu w Padum po dojeździe Tenzina z końmi do wioski.

Po dojeździe na miejsce, odpoczynku i ciepłym posiłku jedziemy jeepem zwiedzić klasztor w Karsha, a po powrocie pytamy o autobus do Kargil.

– Autobus będzie o 18.00, ale bilety można kupić dopiero gdy przyjedzie – informuje mnie mężczyzna w rejonie przystanku.

– A jeśli nie przyjedzie? – pytam.

– To przyjedzie jutro – odpowiada.

– A był wczoraj?

– Wczoraj i przedwczoraj, niestety, nie przyjechał.

Tego dnia także nie przyjeżdża i decydujemy się po kolacji z Tenzinem i Niemkami oraz kilku godzinach snu wyruszyć jeepem o 3.00 rano, nie licząc na oczekiwany od kilku dni autobus. Po kilku godzinach jazdy dojeżdżamy do dochodzącego niemal do drogi szerokim czołem imponującego wielkością lodowca Durung Drung. Jeep pnie się coraz wyżej i wjeżdża na przełęcz Pensi (4450 m) i wśród otaczających gór podąża, płosząc ogromne himalajskie świstaki, najpierw patrzące z zainteresowaniem, a potem chowające się do swoich nor w niedalekiej odległości od drogi. Po przejechaniu wioski Rangdum z drogi widoczne są kolejne lodowce Shafat i Parkachik, natomiast jeden z nielicz-

nych nazwanych szczytów, najwyższy w całym rejonie Nun Kun (7135 m), niestety pozostaje częściowo w chmurach.

Droga z Padum do Kargil niewątpliwie jest bardziej widokowa niż odcinek Manali – Leh. Z Kargil możemy wrócić do Leh lub pojechać do Kaszmiru i Srinagaru, zwanego indyjską Wenecją, przez przełęcz Zoji (3529 m) w pobliżu linii demarkacyjnej, na której od wielu lat nieprzerwanie trwa konflikt pakistańsko-indyjski, upewniając się przed wyjazdem, jaka jest sytuacja na tym odcinku, jak i w samym Srinagarze.

▲ Wypychanie wojskowego samochodu z błotnistej osuwiska na drodze z Manali do Leh (ok. 40 km od Leh)

TREKING - Info praktyczne

Większość agencji proponuje pokonanie tej trasy z końmi, przewodnikiem i kucharzem oraz namioty z karimatami, rozkładane na każdym obozowisku przez obsługujących grupę. W przypadku posiadania własnego namiotu, karimaty i ciepłego śpiwora można zdecydować się tylko na wynajęcie koni wraz z ich właścicielem.

W naszym przypadku za wynajęcie koni płaciłmy w agencji, gdzie poinformowano nas, że potrzebne będą 4 konie na nasze plecaki, namiot, jedzenie oraz jedzenie i rzeczy dla właściciela koni. Przy załadowywaniu w Lamayuru wszystko zostaje załadowane na 3 konie. W Leh oprócz jedzenia należy koniecznie kupić baniaki na wodę, benzynę, kuchenkę benzynową, ewentualne klapki lub sandały do przechodzenia przez strumienie i worki na plecaki. Z kartuszanami do kuchenek, niestety, był problem i mimo posiadania przez nas palnika nie przydał się nam.

Trasa trekingu Lamayuru – Padum jest znacznie łagodniejsza przy podejściach dla rozpoczynających wędrówkę od klasztoru w Lamayuru. Jeśli ktoś woli krótsze, a bardziej strome podejścia powinien wybrać wariant odwrotny.

Na trasie można w niektórych miejscach liczyć na herbaciane namioty, gdzie można zamówić herbatę, czasem zupę z proszku czy ciastka. W własnym zakresie należy jednak zadbać o posiłki.